Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 44.** **Leszno,** *dnia* 2. *Maja* **1840.**



Jeźdźcy na wschodzie.

Arabowie i konie arabskie. (*)

Arabowie, jestto naród kowczowniczy, plemionami czyli hordami spółeczny, i temi przenoszący się z miejsca na miejsce po pustyniach Arabii skalistéj, pustéj i szczęśliwéj.

Przybycie hordy do jednego punktu pustyni, jest zarówno ciekawym obrazem, jakiby kto mógł sobie wystawić. Spostrzega się naprzód kilku jeźdźców uzbrojonych długiémi pikami, na klaczach obiegających miejsce z lekkością zefiru. Każdy w galopie oznacza zakres obozu, jaki ma być zajęty, i upatruje podług swojéj woli miejsce, gdzie jego jurta ma być postawiona. Skoro ten zakres miejsca zostanie obrany jeździec wbija pikę mocno w ziemię i przywiązuje do téjże swojego rumaka, i dalsi Arabowie z hordy, robią toż samo; niektórzy przyjeżdżają konno, a najwięcéj przybywa ich na wielbłądach; w krótce dostrzega się groźne wojsko, zdala nadciągające w nieporządku, przyskakujące z największą szybkością, a to są arabskie famile i najpiérwsze osoby plemienia z wielbłądami, na których są jurty i wszystkie bagaże; inne pociągowe bydlęta przynoszą na sobie kobiety, dzieci, sprzęty gospodarskie, a tłum niezliczony pieszych przychodzi za témi.

Wielbłądy przeznaczone do przenoszenia rodzin, w różnym sposobie bywają przystrajane, stósownie do stopnia i dostatków ich właścicieli, do których należą. Wielbłąd szeika, którego widziałem, był bogato przystrojony, miał na grzbiecie rodzaj palankinu, podobnego do bacika leżącego w podłuż bydlęcia, którego przód był otwarty, dla kierowania wielbłądem. Ten rodzaj kufra zawierał w sobie pięć czy sześć kobiét, i tyleż dzieci nagich, jak matka rodziła; każda familia mieściła się koło piki swego naczelnika, i tak w krótkim czasie postrzega się wznoszące się miasto, jakby cudem jakim; dzieci z kufrów wyskakują jak wróble z gniazda, za-

(*) Umieszczone tu wiadomości wyciągnięte są z opisów pana Desportes i Damoiso, którzy umyślnie w tym celu z Francyi wyprawieni, odbyli podróż po Syryi, Egipcie i Arabii, ze znajomością tamecznego języka i z dosłownego tłumaczenia z rękopismu w języku arabskim przez pana Desportes przywiezionego, a przez Dragomana J. B. Bodin wytłumaczonego.

czynają po równinie biegać, albo łażą do wody, jeśli się ta blizko znajduje, uszczęśliwieni z tego nowego pobytu. Żadna symetrya ani porządek, nie są zachowane w rozporządzeniu tego obozu; tylko namioty szejka, czyli głowy plemienia, zawsze się mieszczą w samym środku obozu; te namioty nie różnią się od innych ze skór wielbłądzich lub koźlich, pomalowanych ciemną farbą. Są kształtu podłużnego, rozciągnięte dwoma kołami drewnianemi, wysokości trzech łokci, wbitemi zewnętrznie; wnętrza jurty na dwie części są rozdzielone rodzajem kobierca, z wielbłądziéj szerści zrobionego, albo bogatą jaką tkaniną. Jedna połowa jurty służy dla kobiét, druga dla mężczyzn, i tam się przyjmują ludzie obcy. Sprzęt, oprócz kobierca, składa się z mat plecionych z trzciny, które służą za łóżka do spoczynku; uboższe rodziny śpią na gołéj ziemi, nakrywając się łachmanami. Sprzęty kuchenne są: garnek żelazny, wielka patelnia żelazna, albo misa drewniana; kubek cynowy, albo drewniany, z którego wszyscy piją koleją, wielka kobza z wielbłądziéj skóry na wodę, inne mniejsze z koźléj skóry, a w końcu naczynie do gotowania kawy i maleńka filiżanka, nigdy nieopłókana, do użycia całéj familii. Ubiór Arabów jest tak prosty, jak ich sprzęty: mężczyzni noszą długą i szeroką koszulę, któréj nie zdejmują z ciała aż niemal się popada, jednak na noc się rozbierają i śpią nadzy, przykrywając się mechlasem (gatunek tkanki z grubéj wełny), w końcu nie noszą obuwia i bosémi chodzą nogami. Arabowie *Amases* zwani, noszą dwie długie plecionki z włosów, które im z obu stron twarzy zwisają. Żółta chustka jedwabna, zielona albo czerwona, z długiémi frenzlami na około, tegoż samego koloru, osłania im głowę. Związują tę chustkę tak, aby mieć trzy końce wolne, dwa końce na każdym uchu zwisają, a trzeci spada na karku. Oprócz tego dziwacznego stroju, obwijają czoło gatunkiem wałka wełnianego w kształcie zawoju: pas skórzany, przy którym wiśi długi puginał, oto jest całkowity ich ubiór. Nigdy nie oddalają się od jurty swojéj, nie będąc zupełnie uzbrojeni. Pałka z drzewa lub żelaza, szabla mizerna, fuzya i pika, są ich orężem. Niektórzy uzbrajają się siekierą, koszturem, słowem, narzędziem zabójczém, stósownie do możności. Kobiéty są odziane długą tuniką z płótna lnianego, koloru niebieskiego; kwef czarny, ściągniony niżéj nosa, pokrywa ich głowę, długi po kostki; uchylają często téj zasłony, dla pokazania wielkiego kółka wiszącego na prawéj części nosa z małym łańcuszkiem, przy skroniach przyczepionym; pozwalają czasem także widzieć wargi niebiesko ufarbowane, jako też dla popisania się z mnogiémi figurkami, które się znajdują na brodzie, policzkach i karku; kiedy wychodzą z jurt swoich, głowę mechlasem pokrywają. Wzrost ich daleko jest większy, niż kobiét zwyczajnie; ich ruch jest zgrabny i pełny wspaniałości, wielkie czarne oczy są powszechnie bardzo piękne, i jeszcze większém się zdają przez skutek czernidła, jakiém sobie brwi namaszczają. Nos jest składu kształtnego, ale reszta twarzy niegodziwie zeszpecona przez dzikie rysy na niéj pokréślone. Kobiéty arabskie pospolicie mają piękne ramiona, nogi także kształtne, choć trochę za szerokie, z powodu, że żadne obuwie nigdy ich w przyzwoitym obrębie nie zachowało.

Dzieci płci obojéj chodzą zawsze nagie aż do wieku młodzieńczego, chłopcy noszą tylko pasek rzemienny na biodrach, który je ściska tak, że są osom podobne. Pytałem się o powód tego zwyczaju; upewniano mię, że wzmacnia dzieci, czyni je lżejszémi do biegu i mniéj potrzebującémi pożywienia; dojrzali nawet mężczyzni noszą te paski całe życie. Także dzieci Arabów są powszechnie pięknego składu i ładne; nie widziałem ani jednego, któreby miało jakąkolwiek ułomność. Są silne, mężne; widzieć można, jak dzień cały tarzają się w piasku, w największy upał słońca bez nakrycia głowy, od czego najmniéj nie cierpią. Wprawiają się także wcześnie w młodości do walki i bitew pomiędzy sobą, w czem niepospolitą okazują szybkość i zgrabność.

Kobiéty zatrudniają się kuchnią i gospodarstwem, przędzeniem i tkaniem wyrobów potrzebnych do przyodziania swych rodzin; kuchnia nie wiele ich zatrudnia, bo lubo ten lud jest bardzo żarłoczny, kiedy znajdują zręczność dogodzenia w tém swojéj chęci, jednak żywią się pospolicie bardzo skromnie. Zasada ich narodowego pokarmu jest potrawa *pilau*, która się składa z ryżu niedogotowanego, przyprawionego roztopionem masłem. Możniejsi, podług sposobności, przy téj potrawie jedzą kwaśne mléko, daktyle, miód i t. p.

Kobiéty także powinny dopełniać przykrego obowiązku mełcia mąki młynkami ręcznémi, bardzo niezgrabnémi i ciężkiémi, albo tłuczkami ziarna rozbijają w kamiennych stępach. Chleb z téj mąki, piecze się na żelaznéj blasze, i podobny jest do przaśnika. Jeszcze jest obowiązkiem kobiét, przynosić wodę do potrzeb domowych, po którą częstokroć bardzo daleko chodzić muszą; w końcu, pranie bielizny nie bardze je wiele zatrudnić może, bo wątpię, żeby ich bielizna była kiedy prana; gdyż takowa, jako i dalsze odzienia arabskie, zapełnione są brudem i plugawstwem, co jest niezaprzeczonym dowodem najobrzydliwszego nieochędóstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Dalszy ciąg.)

2.

Słońce wschodzące zajrzało w szyby, kiedy zbudzeni goście z gospodarzem zerwali się na nogi, i poczęli robić przybory do łowów. — Grzegórz zgotował sporą miarę piwnéj ze śmietaną poléwki, gdy nagle wiatry napędziły czarne chmury. Lunął deszcz rzęsisty, a huk burzy mięszał się z wyciem wokoło drapieżnego zwierza. Psy więc rozsforowano i zaprowadzono do obórki, rusznice zawieszono na kołku, a ochoczy myśliwi ze smutkiem patrzeli na ciemność coraz większą i burzę coraz silniejszą.

Dymitr zwiesił głowę smętnie, obracając w ręku trąbkę myśliwską.

„Miły bracie!“ rzekł podstoli, „trzeba się z wolą boską zgadzać; jużto cały dzionek wypadnie siedzieć w chałupie, pod dachem; zdejmcie więc i trąbkę, już jéj głos nie popłynie dzisiaj z rosą, bo burza do wieczora dotrzyma. A przyznam się waszmości, że człek więcéj życia przepędziwszy pod gołém niebem, czuję jakąś tęsknotę, jakowąś ciężkość na piersi, kiedy pod dachem w domostwie siedzieć by na uwięzi muśi. W źimie, gdy zamieć śnieżna, lub święto, rado zabawi przy ciepłym kominie, luboć i w zimie, kiedy dobra ponowa, hajże w pole, za lisem, zajączkiem, czy wilkiem, a choć mróz ściska, ochota i wesoła drużyna rozwesela serce i rozgrzewa zziębłe ciało.“

„Grzegorzu!“ zawołał Dymitr, „naniećcie dobry ogień na kominie i pamiętajcie o przekąsce przedobiedniéj. A teraz, mili sąsiedzi, zamknięci czterema ścianami, cóż poczniem?“

„Niech się waszmość nie troska,“ odpowiedział Struś na to, „pomodlem się Bogu, potém przekąsiem nieco, pogawędziem, jużci obiad, a może i burza ucichnie, to choć na ptaszki wyjdziem.“

Gdy przed obrazem Bogarodzicy odmawiali modlitwy, Grzegórz nakrył stół dębowy, i zastawił wędliną, chlebem razowym i miodem. Pierwszy powstał podstoli, i żeby nie próżnować, a ruch ciału nadać, zdiął tarczę, i począł ją czyścić; Struś za jego przykładem zabrał się do pancerza Dymitra.

„Zawsze coś pracować muszę“, mówił podstoli, „to dodaje apetytu i umysł weselszy robi. Mój rodzic gdy był dworzanem na dworze króla Zygmunta starego, zawsze czém trudnił godzinę czasu, chociaż nieraz i miał się czemu przysłuchać, boć to był dwór z zacnych, uczonych i dowcipnych mężów złożony. Nie raz mi opowiadał i o licznych figlikach. Na tém dworze Skotnicki Lula i Pukarzewski, zacni dworzanie, słynęli z dowcipu. Pukarzewski zaprośił Skotnickiego na wieczerzę, i tak go spoił, że się na nogach utrzymać nie mógł: sługi i czeladź jego, jedne wyprawił do gospody, drugie pozamykał, samego kazał do przygotowanego więzienia zanieść. Owiany zimnym wiatrem Skotnicki, stracił do reszty zmysły; tak bezprzytomnego okuto w kajdany, a straż przy drzwiach postawiono. Spał upojony kilka godzin, wreszcie zbudziwszy się nadedniem, uczuwszy pęta, zacznie wołać:

„Cóż się dzieje? Ki mię djabeł tak wsadził! Przebóg! gdzież jestem? A jest tu kto! odezwij się proszę!

Straż wyuczona, na kilkokrotne wołanie odezwała się wreszcie.

„A ty ktoś miły bracie?“ zawoła uradowany Skotnicki, że się przecież dowołał człowieka.

„Straż nad tobą, abyś się niewyłamał!“

Zdziwiony Skotnicki pyta znowu: „A przez Pana Boga proszę, któż mię to i za co w te żelaza wsadził?“

„Dowiesz się,“ odrzekł surowy strażnik, „jak cię w dzień na plac wywiodą.“

„Alež mój najmilejszy bracie, przez miłosierdzie boskie powiedz mi proszę, com zawinił? bo ja na Bóg ci to żywy przysięgam, niewiem, ani pomnę, żebym co najmniéj przeciwko komu wystąpił.“

„A czy niepomnisz!“ zawołał strażnik, „żeś poczciwą dzieweczkę naszedł, a jéj ojca, w obronie córki stawającego, zabił!“

Dopiero Skotnicki w pomięszaniu i rozpaczy począł żałobliwie narzekać:

„O! pocóżem się na ten świat narodził! o! bezecne pijaństwo, do czegoś mię przyprowadziło; oto marnie a sromotnie gardło dać muszę. Czemużeś mi miły Boże w tylu bitwach zginąć raczéj nie dał, niż żebym na katowskie ręce przychodził! O! Pukarzewski, przyjacielu! twoje to wino sprawiło; żeby cię byli pierwéj w sztuki posiekali, niżem ja do ciebie poszedł.“

Było tych żalów więcéj pół godziny, nakoniec jął pytać straży:

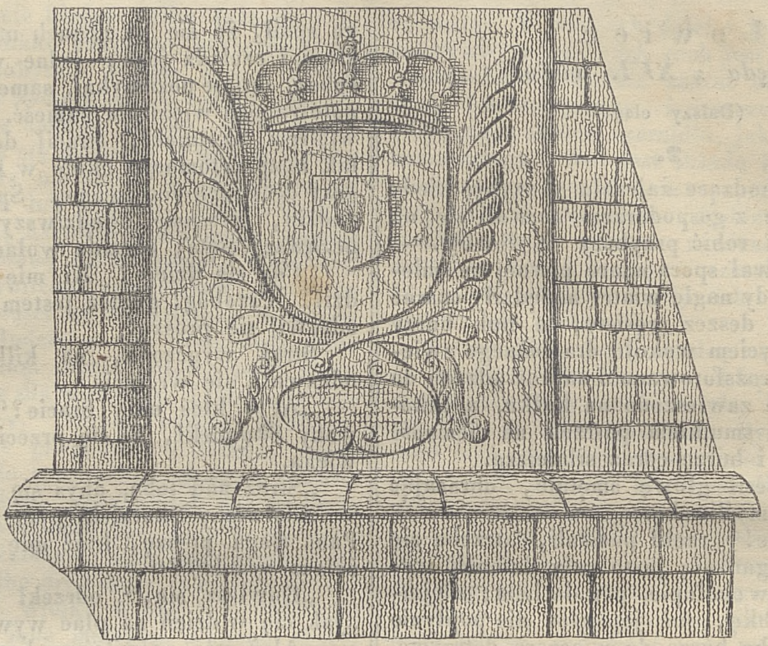
„A moi mili braciszkowie, wiele was tu mnie strzeże?“

„Sześciu nas tutaj.“

„Gdyby który z was chciał uczynić to miłosierdzie nademną, a pójść po którego z moich ludzi.“

„Siedzą oni jak i ty w więzieniu wszyscy.“

„A nieszczęsnyż ja człowiek!“ wykrzyknął z boleścią Skotnicki, „czegożem doczekał!“ — Po długiém przeklinaniu siebie, uprosił jednego ze straży, ażeby poprosił pana Maciejowskiego, dworzanina, który już był świadomy wszystkiego. Przychodzi proszony wraz z kilku towarzyszami: postawa i Maciejowskiego i reszty obecnych, tak była smutna, że przeraźiła Skotnickiego; dopiero gdy usłyszał ich żale i politowania, mało ze strachu nieumarł. — Po wy-



Pamiątki Jana III. we Lwowie.

trzymaniu tak bolesném, żądali, ażeby ślubował, że w obec króla stronę urażoną przeprosi i nagrodzi, co wszystko jak najsolenniéj poprzysiągł. Już téż i dłużéj śmiechu powstrzymać nie mogli; poznał Skotnicki żart przykry, ale przytém umyślił odwdzięczyć się Pukarzewskiemu za wstyd, jaki poniósł, gdy go sam król zapytał, za co go w pęta okuli?

„I jakże się pomścił,“ zapytał Dymitr.

„Zaraz téż waszeci odpowiem,“ odrzekł podstoli. „W rok blisko zobaczył Skotnicki podpiłego Pukarzewskiego, zaprasza więc do siebie, i tak dopaja, że przytomność utracił; pacholę jego odséła, a przyzwawszy barwierza, któremu ufał, rozkazuje pijanemu pół gęby zaszyć i plastrem oblepić. Posłuszny barwierz dopełnił rozkazu; przenoszą Pukarzewskiego na osobne łoże. Skotnicki siada w głowach, i gdy służba pierwszego przybiega, dowiedziawszy się, że pan chory; Skotnicki rzewliwie płacząc, opowiada, że się pokłócił, i cięty szablą, odniósł mocną ranę. Słudzy już się mścić chcieli, lecz gdy się przeświadczyli, że wymieniony winowajca już odjechał, poszli do gospody, zostawując przy chorym panu pacholę. Budzi się w nocy Pukarzewski, a widząc zawiązaną głowę, rzecze półgębkiem sam do siebie: „Ki djabeł? cóż mi się stało? Pacholę, jesteś tu! rozświeć no prędko.“

Porwie się służka i pyta, czy panu źle leżeć?

„Ba! dobrzeć mi leżeć, ale mi to ki djabeł w gębę?“

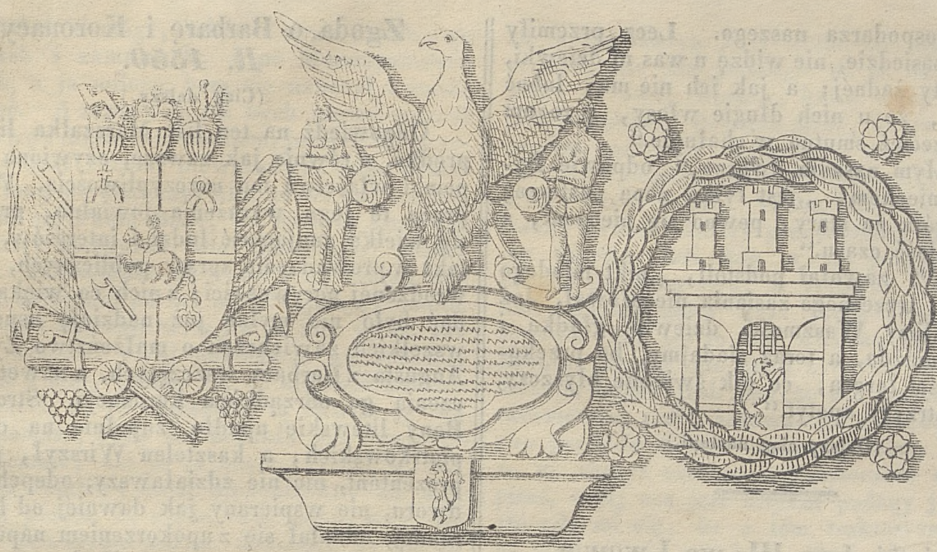
Chłopiec opowiedział, jak się rąbał, i ciętym został.

„Ja tego ani kęs jeden nie pomnę, ani czuję, aby mię bolało.“

Tu pacholę zaczęło zaklinać: „Przez miłość Pana Boga, nie racz Wasza miłość wiele mówić, bo nam barwierz rozkazał, abyśmy to upominali.“

Nad rankiem przyszedł barwierz, opatrzył na nowo ranę; a gdy się dziwi Pukarzewski, że go nic nie boli; „takto zmartwiało ciało do razu (rzekł z powagą barwierz); powoli coraz więcéj będzie Waszą miłość dolegać.“ Uwierzył temu i nagrodził go parą czerwonych złotych: odchodzi barwierz i poleca najmocniéj, by się nie silił rozmową i nie jątrzył rany.

Przyszła obiadu godzina; nadchodzi Skotnicki i z przyjaciółmi, co już wiedzieli o wszystkiém. Pytają go o zdrowie. Pukarzewski przemawia półgębkiem, prosząc, aby mu za złe nie mieli, że mówić nie śmie, bo mu zakazano. — Zadają mu różne pytania, chory na jedno kiwa głową, na drugie milczy. Gdy go już wytrzymali do syta, zaczęli się śmiać. Pukarzewski



IOANNIS III POLONIARUM REGIS
SCVTUM COELO LAPSVM
LAPSA DEDIT LATII MVRIS ANCILIA MOENIA
MOENIBVS HIS MELIVS PERGAMVM HIC UMBO DABIT.
Pamiątki Jana III. we Lwowie.

domyśliwszy się żartu, rzucił zawinięcie i z plastrem o ziemię. (*)

„O tak! panowie bracia!“ wyrzekł Struś, zawieszając oczyszczony i błyszczący pancerz na ścianie, „bawiono się wonczas wesoło: opowiem i ja Waszmościom facecye z tychże czasów:

„Gdy Zygmunt bawił w Wilnie, Kasper Zebrzydowski i Krysztof Krupski, znamienici dworzanie, ułożyli żart dla dworu. Byłto rok, w którym owies musiano przepłacać, a z powodu nieurodzaju i trudno dostać. Ubierają dwóch pachołków, nieznajomych nikomu, a wyuczywszy ich potrzebnie, posełali imieniem Wierszyłła, kasztelana wileńskiego, od jednego do drugiego dworzanina z cedułami, mocą których mieli podarowane po 20, 30 i 40 beczek owsa, a każdy miał poń posełać do dworu kasztelana, Raj zwanego, tuż pod Wilnem. Każdy z dworzan był uradowany z podarunku owsa, ile w rok tak skąpy, a zszedłszy się na zamek, pytał jeden drugiego, na wiele beczek cedułę otrzymał. Już nie jednemu było niemiło, że nie tyle, co inny dworzanin ma dostać. Że nie wszyscy mieli swoich woźników, zaczęli pożyczać i co prędzéj najmować konie, by pierwéj darowany wziąść owies. Ale i w Raju stał namówiony pachołek, który przybywających do Suderwi, o dobrą milę od Raju odsełał, pod pozorem, że fury dociągnąć nie mogły. Pierwszy, co zajechał do Suderwi, naprożno się dopytywał owsa, naprożno pokazywał darowaną cedułę: dorozumiawszy się żartu, nakrył wóz dobrze i nazad wraca. Zaledwie kilka staj odjechał, spotyka wielu dworzan, co spiesząc, pytają ciekawie: „A owies jest?“ — Jest! (odpowiada pierwszy); tylko prosto na zamek, tam go wam odmierzą! — Przybywają do zamku, poznają błazeństwo; wracają nazad, ale każdemu o owsie dobrą otuchę czynią; tak więc wszyscy się przejechali i powrócili do Wilna z próżnemi wory. Zygmunt się o wszystkiém dowiedział, i miał niemałą biesiadę, dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali!“

Gospodarz zaprosił do przekąski przedobiedniéj, a gdy stół obsiedli, burza powoli zmniejszać się zaczęła; już nabierali otuchy, że wyjdą do kniei, gdy niedługo mocniejszy wicher zawył z ulewą straszliwą.

„Co za deszcz! ile wody Bóg wyléwa na ziemię!“ rzekł podstoli; „pamiętam w mojéj młodości, jak dwa tygodnie lał taki i cały zalał Kraków; ludzie dla nabożeństwa przystąpić do kościołów wielu nie mogli i tylko stary Wawel z zamkiem i katedrą, jak wyspa wychylał swoje wieże, mury i baszty. Głód był straszliwy, bo wszystko wygniło w polu.“

„Jestto ciężka plaga; właśnie przed przyjazdem Waszéj miłości, opowiadał mój Grzegórz o okropnym głodzie na Litwie i Żmudzi.“

„Ale ja go tu nie baczę, miły panie bracie (wyrzekł Struś z uśmiechem, patrząc na misę zastawionéj grochówki), „bo i komin i stół nieprózny: poczciwy Grzegórz uprzedza chęci go-

(*) Dworzanin Łukasza Górnickiego 1565.

ścinnego gospodarza naszego. Lecz przemiły Bóg, miły sąsiedzie, nie widzę u was ni dziewki, ni niewiasty żadnéj; a jak ich nie ma, luboć powiadają, że u nich długie włosy, a rozum krótki, przecież smutno w chałupie."

„Na całym naszym dworze," odpowie Dymitr z uśmiechem, „jest tylko żona pasterza; mój Grzegórz za stary, pewno się nieożeni, a dla mnie dość czasu."

„O! o!" zawołał podstoli, „nikt młodego ożenienia i wczesnego zasiania nieżałował. Już my obmyślimy Waszmości dziewkę gładką i dobrego gniazda, a teraz siadajmy, bo przekąska i Waści tarcza, co tak świetnie błyszczy, teraz zaostrzyły apetyt."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pamiątki Jana III. we Lwowie.

W numerze 37. Przyjaciela ludu przypomina pan J. G. w pięknym artykule o sprawie wojennéj w dawnéj Polsce, że Jan III. przyjął przez Pacta conventa zobowiązanie odbudować warownie Lwowa. Kto dziś ogląda to miasto, ledwie uwierzy, aby kiedykolwiek było warowném. Znikły już bramy, wały i baszty. Ostatnie ich szczątki rozebrano niedawno przy założeniu fundamentów nowego teatru. Dawniéj nieco zasypano dokoła głębokie rowy; a za kilka lat mała rzeczka Pełtew, co od południowéj strony zalewała rowy forteczne, zupełnie ukryje się pod ciosowém sklepieniem. Są oprócz tego ślady, że i Pacta conventa, o których była mowa, niepozostały bez skutku.

Pominąwszy resztki starego parapetu od bosaskiéj bramy, idąc w górę ku dzisiejszemu klasztorowi Franciszkanów, znajdziesz u narożnika wschodniéj części muru, opasującego klasztór Karmelitów, ciosową tablicę, a na niéj tarcz Jana III. pod królewską koroną. U spodu napis:

Joannes III., D. G. Rex Poloniae,
Mag. Dux Lithuan. Rus. fieri fecit.

Druga podobna znajduje się na staréj zbrojowni, wysuniętéj rogiem na nową ulicę. Podobnie kute w kamieniu z prawéj strony herby miasta Lwowa, po lewéj pogoń i herby szlacheckie, w środku orzeł z podpisem:

Joannis III., Poloniarum Regis,
Scutum coelo lapsum.
Lapsa dedit Latii muris ancilia Moenia,
Moenibus his melius Pergamum hic umbo dabit.

Załączone na str. 348 i 349 ryciny, przedstawiają wiernie obadwa te historyczne pomniki.

A. K.

Zgoda o Barbarę i Koronacya. *R. 1550.*

(Ciąg dalszy.)

Odpowiedź na ten list Marszałka lit. była prędka, a równie jak zawsze, ożywiona dowcipem i właściwą mu uszczypliwością. Wszakże przez te jego wyrażenia jowialne, przebijała się wielka znajomość ludzi i interesów, pewien takt w prowadzeniu spraw publicznych, pomimo wrodzonéj porywczości; z nich co większa! widać było nie mylną już nadzieję uspokojenia wszelkich zawichrzeń o małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą wszczętych, a nawet uwieńczenia go obrządkiem koronacyi. Stronnictwo Bony litewskie upadło zupełnie na obradach piotrkowskich, a kasztelan Wirszył, jego reprezentant, nic nie zdziaławszy, odepchnięty od dworu, nie wspierany jak dawniéj od braci koronnéj, oddalał się z upokorzeniem napowrót do Litwy. Obok tego panowie Rada w rozmowie w tym celu mianéj, zaniechali ostatecznie burzyć daléj spokojność stadła królewskiego. Tym sposobem wszystko zwiastować zdawało się pomyślną przyszłość dla Barbary i całego domu Radziwiłłów. Ale raczéj starajmy się w samychże wyrazach listu tego, zupełnie jeszcze nieznanego, szukać potwierdzenia wszystkiego, cośmy tu powiedzieli.

„Oświecone książe, miłościwy panie i bracie. Aczbych ja był raczéj widział wedle żądości méj, abyś się był w. m. raczył imieniem swojém dowiedzieć na mym bracie, nieposłując odemnie, a potém mię przestrzedz z jego złego serca ku mnie, bo zda mi się, acz podług przyrodzenia krewnością jednę powinność z obiema nam raczysz w. m. mieć, ale ja tak wierzę, że w. m. znając, iżem się ja do tego przykładał, abyś w. m. powinniejszym mnie, niźli jemu był, i prze osobę mą i prze pana, któremum ja stateczniéj służył i lepiéj, niźli on. A iż w téj mierze idzie niemało o pana, między mną a onym, tedy i po drugie tego dokładam, że w rzeczy tak zadanéj, miałem, czemu jeszcze niewątpię, większą w. m. pomoc przy sobie znać, niźli on, chociaż jest w tymże stopniu krewności z w. m., jako i ja. Wszakoż biorąc się do rzeczy: ponieważ tak się w. m. zdało mówić z nim, a pytać go odemnie, puszczam to imo się, bo już inak być niemoże. Na co ja ku w. m. samemu nie w obyczaj responsu odpisuję, bez argumentów i bez wymyślonych sentencyi. Co się tycze tego, iż powiedział, że niewarcząc nieukąsi, ja zasię tak wiem: iż warczy aż nazbyt, ale dali Bóg nieukąsi, a nieda mu się Pan Bóg mną naigrać niwczem; jako człowiekowi szczeremu i cnotliwemu przeciw każdemu i przeciw samemu jemu. Iż téż i to rzekł, jakoby to miało być, iż go o to pytam, iżem mu niepraw, takiem mu krzyw, jako i pan, któremu co on działał, acz ze czcią swą

tego działać niemógł, także i mnie działa, po karczmach i zamtuzach, i po Morsztynowych dworach, a ja milczę, bom się nauczył i znośić i cierpieć. A zaprawdę téż bych nierad wszedł w rozmowę z takim człowiekiem; jemu by téż przystało, by miał rozum, nieweksować mię, ponieważ ze mną ma dokonany akt, przez one ceduły, czego żal się Panie Boże, iż niebyły chowane jako pozwy nadworne, dla ustawicznéj rzeczy pamięci. Jakomikolwiek w. m. w téj rzeczy napisał, wdzięcznie od w. m. przyjmuję, znając i skłonność i obyczaje w. m., a iż mię w. m. raczysz z winności swéj napominać ku szczeréj przyjaźni z nim, ganiąc to, co się dziś między nami święci, na to odpisować tą chwilą ja ku w. m. niemam, boby też musiała być interpretacya odemnie; ale ja to znam, iż ani w. m., ani żaden cnotliwy może niedubitować na méj przyjaźni przeto, że z nim chcę pokój mieć, bo się tego powszedni rozum domaga, że ja co czynię, słusznie czynię, a żaden na gorsze tego we mnie wykładać niemoże. A tak proszę to nieodpisanie w téj rzeczy wybaczyć, i z listem w. m. tak być musi prze skąpość czasu. O Wirszyła, jako mi w. m. piszesz, nie zda mi się repetować, bo sam nic tu niesprawował, jedno tak w. m. wiedzieć racz o jego sam przyjeździe: że przyjechał do Piotrkowa *confuse*, odjechał jeszcze *confusius*. Zyczę mu tego, iż Wirszył, ale z drugiéj strony, iż jest radą pierwszą onego państwa, zaprawdę lituję go, iż się tak zelżywie ówdzie pokazał. Był sam tak tam, że żaden kasztelan polski nietańszy; żal mi też téj jego wzgardy, która go ówdzie w obec od wszech potkała, iż wzdy jest *de armis ternariae tubae*. Wszakoż aczem go z tych dwu przyczyn niemógł nieżałować w owéj jego powadze, i w takiéj odprawie i witaniu, jakie sam wziął, jednak acz mię chciał mieć z sobą na rozmowie, ubroniłem się z tego; choć ja *privatim* z nim niemam czego czynić, ale iż wiem w. m. zajście z nim, musiało tak być, bo mi tak przystało, i krewności méj z w. m. postrzegać przed owymi ludźmi, którym to jest nie tajnie, iż w. m. zajście z nim raczysz mieć. A tak jednom go mało zajrzał na potkaniu, z konia w ulicy, ale więcéj niewiem o nim, jedno od ludzi, co się z nim działo. I gdy ku mnie przysłał swe sługi, wyśliznąłem mu się ze wszego, co najkrótszą odpowiedzią, abych w rozmowę nieprzychodził, bom mu prze w. m. winien jako mówią wilczy ząb pokazać. Około czego Marek, który na to patrzył, jakom się ówdzie przeciw niemu zachował, w. m. powie i inni nasi, którzy tam do Litwy z dworu jechali. Jeśliże sam pan Trocki przyjedzie, a toż go potka, małoby nielepiéy, aby już zowąd niewracając się do domu, jachał gdzie *in fines orbis terrarum*; bo krótkiemi słowy w. m. wiedz, że sam Wirszyło użył wielkiéj lekkości, a tak jedno się w. m. za tą desperacyą jego strzeż od niego *aliquid occulti*, ale nic jawnego w. m. od niego niepotka po owéj chłoście, którą wziął na sejmie piotrkowskim. Powtóre piszę, bo *in desperatis casibus extrema tentantur*, racz w. m. swe zdrowie opatrznie chować, pomniąc, iż rad za młodu czyże łowił. W. m. dla Wirszyła, nietrzeba ówdzie z Litwy przyjeżdżać, ale ku czemu innemu dali Bóg w. m. przyjedziesz ze czcią i pociechą swą, a Wirszył już podobno dziś ciągnie znów koła przez Wisłę w Warszawie. Już się to nad dwiema znacznie pokazało, którzy źle panu życzyli, że na chromym do domu; jeśli jeszcze kto trzeci tego chce skosztować, tedyć żałować go niebędą, bo *aliena pericula debent cautum facere*. Jako mi w. m. raczył szeroce a pożytecznie około unii pisać, o téj acz jest artykuł podany jego k. m., ale zda mi się, że o tém traktowanie trudne na tym sejmie ma być. Czas się ukrócił, a jeszcze się mało poczęło. Wieleby dobrego, aby oprócz naszych, ich same koronne sprawy doszły, które są tak zatrudnione, że i panowie i posłowie niewiedzą od czego począć, tak wiele nabrali w głowę. Św. Małgorzata się przybliża coraz bardziéj, acz za łaską Bożą większe poły u méj delii, niżli mi ją nieprzyjaciele skroili, wszakożbych rad zowąd swój choć jeden wóz wyruszył, bo sam baczę nie po marszałkowsku stoję, cudzymi sługami zmagam, bo swych niemasz, a ktemu tak sam strawno, że wśród Niemiec niemoże być droźéj, co bardzo uprzykrzyło się mojemu mieszkowi, bo mię sam nawiedzają często wszyscy stanowie, przed którymi trudno mi się kurczyć, strzegąc i powagi książęcéj i sławy przodków naszych, u których też czasem trąbiono k stołu. Umnie choć trąbią w liśi ogon, jednak mam komitywę zawsze k stołu, a zwłaszcza posłów ziemskich, którzy tak rok łajali, dziś już milczą. Muszą między sobą niemieć wodza, ktoby ich na mnie naprawował po pierwszemu. To w. m. piszę niezalada nowinę, że się sam po kęsu odkrywa to, kto był autor i pryncypał owych paskwilusów. Owa, Pan Bóg do końca objawi tych, kto poczciwość ludzką mazał. Bo acz Pan Bóg nic złego niecierpi, ale daleko mniéj tych, kto kogo o lekkości a o złe mniemanie przyprawuje, dla czego i samego i znak kaźni swéj ostawia na domu jego, aby to sam na sobie nosił, w co chciał bliźniego wieść abo wepchnąć, *et retribuit unicuique secundum opera eius*. Raczył mi w. m. szpadę posłać ze stron północnych, skąd pierwéj łuki a kołczany bywały. W. m. za tę nową broń dziękuję, ale iżem ja już niewaleczny człowiek, o pokój Pana Boga proszę, a też mię tego ludzie uczą, że niechcą abych hetmanił, podobno znają po moim mieszku, że temu urzędowi niesprostam, trzeba na to wiele sług i niemałego obozu, nieprzystoi na krzywym przyjechawszy

hufów szykować. Owa u kogo rubli, u tego i rozum, a ubogi kiep, jako dawno; jednak ja w. m. i po drugie za tę szpadę nowéj formy dziękuję. Około postanowienia małżeństwa jego k. m. ja tak widzę z domysłów, że ta rzecz weźmie słuszny koniec. Między radami już się dokonała o tém rozmowa. Przyzwolą, by kto rozumu za piórkiem nie posłał na rynek. Wszystko mi się widzi głupiemu, że ówdzie z wielkich głów wielkie błędy powstają. Wszakoż jeśli się co ponowi około unii, w. m. będzie to nietajno od jego k. m., a ja téż co będę mógł w. m. rad oznajmię. Raczysz mi w. m. pisać około Polaków, którzy gęsto i wszędy i w majętności łażą do nas, ja sto rozumu niemam, a pogotowiu powagi, jakoby to hamować, jedno Pana Boga proszę, aby to ich wnieśienie do naszéj ojczyzny, raczył w dobro obrócić, by nam nieprzyszło w ziemi swéj im służyć, bo zaprawdę wielkie są do tego początki. Tego Marka, jakeś mi go raczył w. m. zalecić, oddałem go jego k. m., a iż pod tym czasem wakowało ciwuństwo żmudzkie w. m. i mojém imieniem prosiłem jego k. m. o to za nim; raczył jego k. m. to jemu dać. A tak niech to w. m. zasługuje. Ja ówdzie jeszcze mieszkam; co będzie daléj, wszyscy milczą; od posłów w poniedziałek przyszły, co będzie, usłyszymy, a potém kto się przylepi, w. m. oznajmię, jako się wszystko dokona. A zatém życząc w. m. dobrego zdrowia i wszéj fortuny od Pana Boga, zaleciwszy się staréj powinnéj braterskiéj miłości, proszę nie racz mię w. m. w niéj przepominać. Dan w Piotrkowie, w wigiliją św. Małgorżaty (12. Lipca) roku 1550.“ „W. m. powolny brat i sługa

Ni. Radzivil.“

„*Illustrissimo principi Domino Domino Nicolao Radzivil in Dubinki et Birże Pocillatori Magni Ducatus Lithuaniae etc. in proprias manus.*“

Długo się ciągnęły obrady w Piotrkowie: bo zaczęte pierwszych dni Maja, jeszcze w połowie Lipca trwały bez przerwy, zatrzymując króla z całym dworem w tém miejscu, pamiętném dla niego tylu wielkiéj wagi wypadkami. Barbara cały ten czas przemieszkała w zamku krakowskim (*), niepocieszona nigdy w oddaleniu od drogiego małżonka, codzień ze łzą w oku zwracała myśl zasępioną ku stronie, gdzie jéj ukochany August dokonywał nakoniec zwycięztwa nad wrogami tkliwego ich związku. Głębokie westchnienia zdradzały smutek, który osiadł w jéj duszy, zdradzały może nawet bolesne przeczucie, że niedługo już wolno jéj będzie używać szczęścia ziemskiego, obok tego, co ją ukochał nad życie. Jednakże w pośród najdotkliwszych chwil tęsknoty, walczyła w jéj sercu powinność królowéj z uczuciami rozdzielonéj z przedmiotem kochania małżonki. Tamta nakazywała jéj poświęcać wszelkie troski domowe, robić ofiarę z najmilszych żądz i nadziei, dla dobra kraju, którego małżonek jéj był władzcą; drugie zajmowały duszę Barbary, jedną tylko myślą, jedną potrzebą tylko, jak najrychlejszego oglądania Augusta. I wtenczas były chwile, że nie bacząc na surowe obowiązki wysokiéj godności swéj; zapominała o wszystkiém, biło w niéj tylko serce kochającéj kobiety; płakała nad samotnością swoją, i przywalona całym ciężarem tęsknoty, wzywała usilnie powrotu Augusta. Jeden z takich listów Barbary, gdzie się maluje ta walka najprzeciwniejszych w jéj sercu uczuć, został zachowany dla potomności, ażeby świadczył, z jak szlachetną duszą łączyły się owe rzadkie wdzięki w osobie pięknéj królowéj! Czytajmy go, składając winny hołd wielbienia dla jéj drogiéj pamięci. (*)

„Najjaśniejszy m. k., panie a panie mój m., daj Panie Boże w. k. m. długo fortunne zdrowie; o to ja Pana Boga ustawicznie proszę, i tego w. k. m., jako sługa wieczna wiernie życzę, którego w dobrém zdrowiu abych rychło oglądała, daj to Panie Boże. Raczyłeś w. k. m., mój m. pan, do mnie pisać, iż się w. k. m. nadziewać raczysz prędkiego dokonania tego tam sejmu, a znać, żeby się już miał dokonać m. k. Aczbym ja życzyła, i Bóg zna, że życzę, aby sprawy państw w. k. m. były przez opatrzenie w. k. m. w dobréj wierze, a nie porywką postanowione: ale natenczas Boże mi odpuść wierabych rada, aby się miało na nim dziać ku długiemu mieszkaniu tam w. k.; daj Panie Boże, aby się to na drugi czas odłożyło. Jakoż w. k. m., swego m. pana i dobrodzieja, pokornie proszę, aby mię w. k m. służebnicę swą pocieszyć raczył przez pisanie swe, dając mnie znać pewny czas przyjachania swego, czego mnie Boże daj rychło doczekac, bo ja niemam na świecie większéj pociechy, jedno gdy patrzę na dobre zdrowie w. k. m., swego m. dobrodzieja. Za m. nawiedzenie zdrowia mego przez pisanie w. k. m., pokornie dziękuję w. k. m., swemu m. panu. Jam natenczas z łaski Bożéj zdrowa, ale mi Bóg zna zdrowie, nieprawie miło będąc mnie tak długo bez w. k. m., mego m pana. Zatém służby swe wieczne zalecam m. łasce w. k. m., swemu m. panu. Szlę w k. m, swemu m. panu, mały upominek na znak najmniejszych a wiecznych służb moich, a pokornie proszę, aby w. k. m., moj m. pan, z miłościwéj łaski swéj w niebytności méj wypuszczać nie raczył.“

„W. K. M.

„Najmniejsza sługa a wieczna

b. R.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) *Górnicki*: Dzieje w koronie pols., ed. warsz. 1750., str. 35. pisze pod r. 1550: „Tegoż téż czasu królowa Barbara przez sejm w Radomiu mieszkawszy, mając ochmistrza Stanisława Maciejowskiego, kasztelana sandomirskiego, a brata rodzonego księdza Maciejowskiego, który potém marszałkiem nadwornym koronnym umarł, ku królowi z Radomia wyjachała.“ Górnicki miesza tu pobyt Barbary w r. 1549. w Radomiu podczas pierwszego sejmu piotrkowskiego, z powtórném oddaleniem się króla do Piotrkowa, przez które królowa cały czas w Krakowie przebywała, jak niezawodnie wszystkie listy, w tych pamiętnikach przytoczone, zdają się zaświadczać.

(*) Dzien. war. 1826. T. IV. str. 325., gdzie i stara pisownia wiernie jest zachowaną.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)